

DF po katastrofie w Smoleńsku | O Januszu Krupskim

Pasazer lotu 101

Przyjaciele zastanawiają się, jak Joanna poradzi sobie z siódmką dzieci

JACEK KOWALSKI

Przepędził z uniwersytetu Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Rodzina odkładała mu na mieszkanie, ale kupił za to papier do powielacza. Chciał walczyć ze Związkiem Radzieckim w Afganistanie.

SB wydała na niego wyrok śmierci. Przeżył dlatego, że zaczął się weekend. Odbierał porody swojej żony.

Jeden głos zaważył, że nie został prezesem IPN-u.

10 kwietnia Janusz Krupski był pasażerem lotu 101.

O nic nie poprosi

Urodził się w maju 1951 roku. W tym samym roku Gustaw Herling-Grudziński wydaje „Inny świat”.

Wedle rodzinnej opowieści jego ojciec poróżnił się z rodziną, odszedł z domu i został ślusarzem. Matka nie pracowała zawodowo.

Janusz całe dzieciństwo mieszka w Lublinie przy ul. Gospodarczej 30/52. Z tego samego adresu w stanie wojennym jego matka będzie wysyłała pisma do komendy wojewódzkiej MO z prośbą o wypuszczenie Janusza z internownia. Odpowiedź jest zawsze ta sama. Odmowa, bo „nie ustały przyczyny, dla których został internowany”. Poza tym „z prośbą o zwolnienie powinien wystąpić sam zainteresowany, czego dotychczas nie zrobił”.

A on nie będzie ich o nic prosił.

Trzej przyjaciele z KUL-u

Już pod koniec liceum wie, że chce studiować na KUL-u. Konieczne historie. Nie chwali się tym specjalnie, bo wie, że mogliby go z tego powodu oblać na maturze. W nagraniu dla lubelskiego ośrodka Brama Grodzka mówił: - Czulem, że to pójście na Katolicki Uniwersytet Lubelski nie będzie takim zwykłym kształceniem się, zwykłym studiowaniem, czulem, że to będzie jakaś przygoda, która zaważy na całym moim życiu.

Jeszcze na pierwszym roku zaprzyjaźnia się z Bogdanem Borusewiczem i Piotrem Jeglińskim. - Szybko zrozumieliśmy, że na KUL-u trzeba nie tylko studiować, ale też działać, robić jeszcze coś oprócz studiowania. Dla nas ważne były tradycje niepodległościowe, powstańcze. Staliśmy się szczególnie pogłębiać wątki związane z historią najnowsza, drugą wojną światową i tradycją niepodległościową. Interesowała nas też tradycja oporu powojennego, legenda podziemia antykomunistycznego. Ale wtedy było bardzo trudno o wszelkie materiały.

Gdyby nie Bartoszewski...

Gdyby Władysław Bartoszewski mówił mniej, albo chociaż z mniejszą pasją, życie Janusza potoczyłoby się może inaczej. Może nie zaangażowałby się w podziemie, a esbecy nie próbowałiby go spalić. Ale z drugiej strony być może nie poznałby Joannę - największej miłości swojego życia.

I nigdy może nie dowiedziałby się, jak smakuje prawdziwa zdrada, chociaż bez tej wiedzy podobno można jakoś tam żyć. Zdradziła go Hanka, jedna z trzech kobiet, które zaważyły na jego dorosłym życiu.

Ale niestety - Bartoszewski mówi, jak to on, sugestywnie, z ogniem. Cykl wykładów, który wygłosił na KUL-u w roku akademickim 1973/1974 na temat podziemnej poligrafii w czasie II wojny światowej, tak zapalił studentów trzeciego roku historii (Krupski, Borusewicz, Jegliński), że decydują: trzeba uruchomić podziemną drukarnię. - Bartoszewski opowiadał, że w okupowanej Polsce ukazywało się mnóstwo tytułów podziemnej prasy i książek. Nie było nad tym żadnej cenzury, każdy pisał, co chciał. To było dla nas zachęcające i inspirujące.

Jak ruszyć z wydawnictwem?

Jeszcze nie wiedzą.

Ale mają plan.

A nawet dwa.

Pierwszy jest kozacki. Trzeba zakraść się w okolice placu Litewskiego, gdzie ma siedzibę Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Oni - pupile władzy - mają powielacz. Wystarczy włamać się do siedziby, ukraść potrzebny sprzęt. Kiedy wszystko jest zapiekie na ostatni guzik, Krupski (autor pomysłu) dochodzi do wniosku, że plan jest jednak zbyt ryzykowny.

Węc wprowadzają drugi: trzeba wyjechać na Zachód i kupić powielacz. Pieniądze ma dać emigracja.

Ale jest kłopot: Janusza nie chcą wypuścić z kraju. Latem 1974 roku wyjeżdża więc Jegliński. Do Paryża, na stypendium Instytutu Katolickiego. Borusewicz daje mu na drogę torbę konserw, a babcia - uciulane sto dolarów. - Wydałoby mi się, że ruszam na podbój świata - mówił w jednym z wywiadów. Ale okazało się, że nie jest proste.

Pokonali SZSP

Janusz nie może wyjechać z kraju, bo jest na cenzurowanym. Powód?

W 1973 roku władze postanawiają ogólnie zjednoczyć wszystkie studenckie organizacje, a przede wszystkim wprowadzić na KUL wyjątkowo tam nielubiany Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Podczas wiecu Krupski - wówczas szef Kola Naukowego Historyków Studentów KUL - jasno stawia sprawę: nie ma miejsca dla socjalistycznych związków na tej uczelni. Nie byłby sobą, gdyby podczas tego samego wiecu nie skrytykował ustroju oraz sojuszy, głównie sojuszu z ZSRR.

Socjalistyczny nowotwór jednak powstaje na KUL-u. Wtedy Krupski wraz z Borusewiczem uderzają wyżej: do prymasa Wyszyńskiego. Kardynał jest wtedy Wielkim Kanclerzem KUL-u. Uważnie wysłuchuje petycji studentów i podejmuje decyzję: SZSP nie może działać na uczelni.

Janusz Krupski wygrywa tę bitwę z ustrojem. I tego mu nie zapomną.

„Zuzia” przyjeżdża z Londynu

Węc Janusz nie jedzie, ale Piotra wypuszczają do Paryża. Ma kupić i dostarczyć do kraju po-

wielacz. Na miejscu młodego opozycjonistę czeka rozczarowanie: - Wydawało mi się, że wystarczy przybyć na Zachód, a tam wszyscy tylko czekają na takich ludzi jak my i pomogą. Nie czekali. W tej epoce Zachód, a zwłaszcza Francja, dobrze żył z Gierkiem. Uważali, że wszystko, co można dla nas zrobić, to wysłać książki - mówił w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”.

Janusz Krupski opowiadał: - Redaktor Jerzy Giedroyc i Jan Nowak-Jeziorański, do których dotarł Piotr, uważali, że koszty prowadzenia takiej działalności w Polsce mogą być zbyt wysokie. Tzn. represje aparatu bezpieczeństwa mogą być bardzo surowe.

Jegliński zatrudnia się więc w pizzerii u Sy-cyljczyków, żeby zarobić na sprzęt. I ostatecznie w 1976 roku kupuje niewielki spirytusowy powielacz. Połowa kłopotu z głowy. Co dalej? Drobiazg: trzeba wwieźć go do Polski.

Tylko jak? Krupski wpada na pomysł. Tak samo jak poprzednio, gdy wymyślił świetny sposób komunikowania się z pozostającym za granicą przyjacielem - wysyłał zmikrofilmowane informacje w twarde oprawy książek, które podrzucił Piotrowi przez przypadkowe osoby.

Janusz Krupski: - Udało mi się porozumieć z kolegą Wittem Wojtowiczem, który studiował na historii sztuki. On wyjeżdżał właśnie do Londynu ze Sceną Plastyczną KUL Leszka Mądzi-ka. Autokarem jechała cała obsługa, aktorzy, dekoracje, ten autokar był z pewnością bardzo różnym sprzętem i uznaliśmy, że to najlepszy sposób, żeby w tym autokarze przewieźć niezauważony przez nikogo powielacz.

Piotr jedzie do Londynu z powielaczem. Tam na pamięć uczy się wszystkich jego elementów (wielokrotnie rozbiłali go wspólnie z Wittem i składali, aż mogli to robić z zamkniętymi oczami). Na koniec rozkładają go na części, które rozrzucają pośród dekoracji. Pozostaje bęben - największy element, charakterystyczny. Nie do rozbiórki. Celnik na granicy na pewno go pozna. Otwijają więc bęben żyłką. Kładą na innych sprzętach. Ma udawać wyjątkowo dziwny element scenografii. Piotr i Janusz bezczelnie liczą na to, że się uda.

I się udaje.

W marcu 1976 roku pierwszy opozycyjny powielacz, ohrzczoney „Zuzia”, trafia do mieszkania przy ulicy Gospodarczej 30/52 w Lublinie.

Tylko co z nim teraz począć?

„Folwark zwierzęcy” idzie do kosza

Janusz Krupski wraz z Bogdanem Borusewiczem jadą do Warszawy, do Jacka Kuronia. Rozmawiają z nim o drukowaniu ulotek, książek, gazet poza cenzurą. Liczą na pomoc, ale Kuron reaguje tak jak Giedroyc w Paryżu. Ostrzega, że za drugoobiegowy druk represje ze strony władz będą drastyczne. Studenci wyjeżdżają podłamanymi.

Ale nie dają za wygraną. Wbrew wszystkim postanawiają drukować. Najpierw „Folwark zwierzęcy” Orwella. Kilkanaście sztuk, żeby nauczyć się obsługi. Druk jest niezbyt, całość nadaje się do kosza. To ich nie zniechęca. Drukują ulotki. Podpisują je jako Młodzieżowy Komitet do Przestrzegania Porozumień KBWE. Jedną z nich

- informującą o przypadkach łamania praw człowieka w Polsce - po angielsku.

Janusz wie, co z nią zrobić.

W czerwcu w Warszawie odbywa się Zgromadzenie Młodzieży i Studentów Europy. Krupski dostaje się na salę obrad, przekazuje ulotkę. Ta zostaje najpierw odczytana na forum, potem wywieziona na Zachód i tam rozpozwożona.

Wkrótce rusza współpraca z KOR-em. „Zuzia” wydrukuję dla Warszawy pierwszy, historyczny numer „Zapisu”, drugi i połowę trzeciego.

Czasem pić alkoholu, a „Zuzia” chodzi na denaturat. Żeby nie podpaść, uszczelniają drzwi i okna kocami. Tak się rodzi Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza NOWa (1976 rok).

Janusza cały czas obserwuje bezpieka.

Ale ma go na oku ktoś jeszcze.

Niech będą „Spotkania”

Kiedy KOR znalazł inny powielacz, chłopaki postanawiają sami wydawać - „Spotkania”.

Jest 1977 rok. Tytuł jednego z najważniejszych - jak się potem okazało - wydawnictw podziemnych myślał Janusz. Opowiadał: - Zastanawialiśmy się, jaki nadać tytuł temu pismu, które już tam się składało, i powiedziałem, że to muszą być „Spotkania”. Zastanawialiśmy się też nad podtytułem, jak wprowadzić słowo, które określałoby katolicką orientację tego pisma. Zastawialiśmy się, czy to nie będzie niewygodne dla Kościoła i czy dla nas to nie będzie w jakimś sensie rzucające, bo katolicyzm w Polsce miał różne kształty. Z tymi wątpliwościami udaliśmy się do ojca Ludwika Wiśniewskiego, a on zapytał wprost: „To co, nie chcesz, żeby to było pismo katolickie?”. „Nie - ja mówię - chcę”, a on na to: „To niech będzie”. Ojciec Ludwik Wiśniewski tę wątpliwość ostatecznie przełamał. W podtytułe użyliśmy takiej formuły: „Niezależne Pismo Młodych Katolików”.

Miał książeczkę mieszkaniową, kupił papier

Papier. Skąd go wziąć?

Janusz Bazydło, historyk, wówczas współtwórca „Spotkań”: - Nikt z nas nie miał koniecznej ilości pieniędzy. Janusz je miał na książeczkę mieszkaniową, na wkład złożyli się najbliżsi członkowie jego rodziny. Sam mieszkał wtedy w małym pokoiku, w którym po rozłożeniu wersalki nie można się było poruszać. Spytał wtedy mamę, czy zgodzi się na przeznaczenie tych środków na zakup papieru. Jak sam mówił, ta prosta kobieta bez zbędnych tłumaczeń się zgodziła. Był więc papier, a potem pierwsze wydruki Nieocenzurowanej Oficyny Wydawniczej „Biułetyny Informacyjnej KOR”, „Komunikaty KOR” i „Zapis”. To dzięki niemu i jego mamie zaczęła się „rewolucja powielaczowa”.

Nad pierwszymi numerami pracują: Zdzisław Bradel, Bogdan Borusewicz, Zdzisław Szpakowski, Adam Stanowski, Janusz Bazydło. Całością kieruje Janusz Krupski. A raczej Janusz Topacz - bo takim pseudonimem opatrzył tekst otwierający pierwszy numer. A co w nim?



Łukasz i Joanna Krupscy z dziećmi

DF → po katastrofie w Smoleńsku | O Januszu Krupskim

- W pierwszym numerze podejmowaliśmy problematykę mniejszości narodowych, naszych sąsiadów, problemy związane z Żydami, to był tekst Janusza Bazydły, którego nie mógł opublikować w „Wieści”. Był tekst związany z problematyką ukraińską w II RP, były problemy związane z opozycją w Rosji, były teksty historyczne, była informacja dotycząca wydarzeń w Bloku Wschodnim - wspominał Krupski.

Bezpieka obserwuje go coraz uważniej. Joanna też.

Radykalny? Podoba mi się

Joanna Puzyna studiuje na tym samym uniwersytecie. Janusz podoba jej się, bo jest bezkompromisowy i bez reszty identyfikuje się z tym, co robi.

- Janusz przeciwstawiał się systemowi z niezwykłą odwagą - to mi imponowało. To było coś zupełnie innego od tego, co ja robiłam - mówi Joanna Puzyna-Krupska.

- Joanna zajmowała się upośledzonymi - walczyła o to, żeby społeczeństwo traktowało ich normalnie. Janusz walczył w podobnej sprawie: żeby władza traktowała obywatela jak normalnego człowieka, a nie jak osobę upośledzoną, za którą trzeba myśleć i wymuszać na niej działania bądź jej ograniczać - mówi przyjaciel rodziny Krupskich.

Co jeszcze imponuje Joannie? - Był bardzo radykalny. Na przykład zupełnie serio wybierał się do Afganistanu, żeby walczyć ze Związkiem Radzieckim.

Januszowi też podoba się ta dziewczyna - wie, czego chce.

Proszę uwolnić syna

Ledwie odbywają się zaręczyny, gdy wybuchają wojny.

Joanna boi się - trochę o siebie (działa w uczelnianym Komitecie strajkowym), ale bardziej o narzeczonego. Przecież jest „Zuzia”, „Spotkania”, ulotki dla KOR-u. A jeszcze Janusz ma na sumieniu zbieranie podpisów pod apelem o powołanie sejmowej komisji do zbadania okoliczności wydarzeń w Radomiu i Ursusie (1977 r.) i podpisanie apelu Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu o przeprowadzenie wolnych wyborów (1979 r.). Przekazywał też do Radia Wolna Europa własnoręcznie wykonane mikrofilmy dokumentujące działalność opozycji w Polsce i kierował Sekcją Historyczną przy Zarządzie Regionu NSZZ „Solidarność” w Gdańsku (od jesieni 1980 - do wybuchu stanu wojennego). Władza historii boi się jak ognia, toteż bezpieka ciągle zatrzymuje i przesłuchuje Janusza.

W stanie wojennym Joanna pomaga znaleźć Januszowi kryjówki u znajomych. Krupski najpierw ukrywa się kilka dni u Krzysztofa Jedlińskiego, znajomego z czasów studenckich. - Wiedzieliśmy, że ten adres esbecka szybko namierzy, więc Janusza szybko przerzucono w inne miejsce w kraju.

Jedliński: - On kończył studia, ja dopiero przyszedłem. Pamiętam, że zdumiała mnie i ujęła jego niezwykła bezpośredniość. Podszedł kiedyś do mnie i po prostu zaprosił do wspólnego działania w Kole Młodych Katolików. Bardzo mi to imponowało.

W październiku 1982 roku Janusz wpada. Zostaje internowany w Lublinie. Matka pisze prośbę o jego uwolnienie, ale konsekwentnie milczy.

Hanka - dobra koleżanka

Departament D był tak głęboko zakonspirowany w strukturach SB, że inni funkcjonariusze nie wiedzieli nawet, że istnieje. Powstał w 1973 roku, liczył kilka osób. Miał jeden cel: osłabić od środka Kościół. Jednym z pracowników tego Departamentu była Hanka Borucka. Młoda, szybko łapiąca kontakt. Tuż przed wybuchem stanu wojennego - w listopadzie 1981 roku - szefostwo przyznaje jej zadanie spe-

Niemal całe dorosłe życie Janusz wstawał o piątą rano. W czasie, gdy miał pracę - jechał do pracy. Gdy był w domu, szukał roboty dookoła siebie

cialne: rozpracowanie od środka środowiska pisma „Spotkania”.

Hanna bierze się do pracy z takim zapalem, że już wkrótce zyskuje w oczach nieświadomego Janusza miano „dobrej koleżanki”.

Ponieważ od drugiego numeru było wiadomo, kto odpowiada za „Spotkania” (Krupski: - Stwierdził, że sprawa jest oczywista, i tak już wiedzą, kto robi to pismo, więc nie ma przeszkód, by adres redakcji i nazwiska osób redagujących ujawnić. Jako adres redakcji zostało wskazane moje mieszkanie), działania Hanny miały skoncentrować się głównie na Januszu.

I nie chodziło o wtroczenie go do więzienia.

Żal Joaśki, będzie się martwiła

W internacie esbecki namawiali Krupskiego, żeby zalegalizował albo zlikwidował „Spotkania”. On konsekwentnie odmawia, więc w grudniu 1982 roku wypuszczają go, a w Departamencie D postanawiają załatwić ten problem po swojemu. Tuz czym nie wiadomo, co było najpierw: decyzja czy uwolnienie.

52 dni od wypuszczenia staje się coś, co zmienia go na zawsze.

- Ubeków poznawało się łatwo - opowiadał. - Duży fiat, najczystszej kremowy, w środku trzech-czterech panów. Gubiło się ich albo i nie - ale nie robili krzywdy. Oczywiście punktem honoru było zostawienie gdzieś ogon na mieście.

Krupski mieszka w Lublinie. Często jednak bywa w Warszawie. Tak jak wtedy - w piątek, 21 stycznia 1983 roku. Tego dnia o 16.15 Janusz wychodzi z księgarni naukowej w Pałacu Kultury i wydaje mi się, że w tłumie ludzie widzi porucznika Szewera, esbecka z Lublina. Zdażył jeszcze zastanowić się, co takiego się wydarzyło, że ściągnięto go z tak daleka, gdy dwóch innych esbeków chwytają go pod ramiona i wpycha do drzwi fiata, który narażedza z otwartymi dzwonami.

- Minęliśmy Pałac Mostowskich, Żoliborz, Chomiczówkę i Laski - opowiadał „Rzeczpospolitej”. - Zauważyłem tablicę wsi Truskaw. Zronda autobusowego linii 708 zjechałiśmy w leśną drogę Puszczy Kampinoskiej. Zatrzymali samochód, kazali mi wysiąść. Spytałem, czy zamierzają mnie tu rozwalić.

Słyszy, że nie podobnego, że tylko zgubili drogę. Esbecky każe mi się położyć na ziemi twarzą w dół. Posłusznie wykonuję rozkaz, w duchu zegnając się z narzeczoną. Ale po chwili każe wstać, zdjąć półkożuszek i buty. Wstaje, zdejmując, schludnie układa obok, kładzie się z powrotem. Twarzą w śnieg.

Teraz już nie wie, co myśleć. Żal, że go dopadli. Żal Joaśki. Bo się będzie martwiła. Ale co ma być, niech będzie. Naraz czuje ostry zapach i piekący ból na plecach: esbecky wylał na niego zawartość przywiezionej ze sobą butli. Jak się potem okaże - mieszaninę fenolu, lizolu i hugu. Silnie żrąca.

- Kiedy otrząsnąłem się z oszłolomienia, fiata już nie było. Włożyłem złane tą samą substancją buty i kożuszek, dobiegłem do autobusu 708, który zaraz ruszył z petli. Potwornie cuchnąłem, ale nikt nic nie mówił. Na obrzeżach Warszawy przesiadłem się do taksówki, mówiąc kie-

rowcy, że tak urządziła mnie esbecka. Zaklął i zawiózł mnie do Joanny - opowiadał w tym samym wywiadzie.

Przeżył, bo zaczynał się weekend

Sweter - w strzępach. Koszula - spalona. Plecy - czarne, z poparzeniami I i II stopnia. Skóra odpada płatami. W szpitalu powiedzieli mu, że substancja miała zniszczyć narządy wewnętrzne. Przeżył, bo sweter zatrzymał część płynu.

Przeżył może dlatego, że esbecky się spieszyli. Zamiast głęboko do lasu, wywieźli go na obrzeża. Szybko dotarł do petli autobusu, a czas miał tu decydujące znaczenie.

Zlecający porwanie kapitan Grzegorz Piotrowski nakazał, aby Krupski rozebrał się do naga i dopiero wtedy na niego wylał dwie butle żrącego płynu. Tak im się spieszyło, że kazali mu tylko zdjąć kożuszek i buty. I polali go jedną butlą. Mieli go potem utopić w oczku wodnym - nie zrobili tego. Chyba też przez pośpiech.

Sfuszerowali. Był początek weekendu, popołudnie, karnawał...

Na początku lat 90. esbecky, którzy poparzyli Janusza, trafiają pod sąd.

Okazanie. Krupski staje oko w oko z Ryszardem Skokowskim. Ma prawie pewność, że to on lał mu wtedy ten płyn na plecy. Ale tylko - prawie pewność. I Janusz nie wskazuje Skokowskiego. Ręka, która potem podał mu ten człowiek, była mokra od potu.

Później okazuje się, że wtedy, pod Pałacem Kultury, esbecky wiedzieli, skąd i dokąd idzie, bo wydała go Hanka Borucka. Pracowała dla nich od samego początku, chociaż udawała przyjaciółkę.

To zabolalo bardziej niż popalone plecy.

Teraz rodzina

Informację o esbeckiej akcji Janusz ustnie przekazuje do Wolnej Europy, a pisemnie do Episkopatu.

Jedzie do domu, do Lublina. Ojciec już nie żyje - zmarł, gdy Janusz się ukrywał.

Jesienią tego samego roku biorą z Joanną ślub w Laskach w Kampinosie, niedaleko od miejsc, gdzie sam zginął.

Na przełomie lat 1984-85 roku sytuacja jest mniej więcej taka: on nie ma pracy, ona pracuje w szkole specjalnej, w klasie dzieci z ciężkimi autyzmem. Niska pensja.

Przenoszą się z powrotem do Lublina. Tam Joanna dostaje pracę na KUL-u. Lepsza pensja. Pierwsza ciąża - poronienie.

Druga ciąża - zagrożona. Krupscy podejmują decyzję o powrocie do Warszawy.

Teraz mieszkają kątem u rodziców Joanny, na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Wilczej.

Janusz wie, że taka sytuacja nie może trwać długo. W połowie 1985 roku znajduje starą, zamienianą chatę z bali w Wólce Kobyłańskiej niedaleko Mińska Mazowieckiego. Już wie, że na razie musi poświęcić się rodzinie. W lipcu rodzi się syn - Piotr.

Janusz własnoręcznie remontuje tę ruinę. Stwarza powiększającej się szybko rodzinie raj na ziemi, do którego przenoszą się regularnie na pół roku. Krupskim rodzi się szczęśliwie drugi syn - Paweł. A potem trzeci - Tomek.

- Obok była rzeczka, las. Krowy przychodziły pod chałupę, kiedyś świnie się przybłakały do ogródka. Dla mnie było to absolutne odkrycie - Joanna jest zachwycona. Pierze ręcznie w rzecce. Uprawia ogródek.

W Wólce rodzą się Krupskim następne dzieci: dwóch chłopaków. Janusz sam odbiera porody. Teraz jest już piątką. - Chłopcy mieli swoją kępe, gdzie sobie strzelali i chodzili po drzewach - wspomina Joanna. - Jak było gorąco, można było iść do pływającego strumienia poplaskać się. Raj.

Janusz jest szczęśliwy, że stworzył to własnoręcznie. Wciąż pracuje w „Spotkaniach”. Będzie tam do ostatniego, 35. numeru wydanego w 1988 roku. Dwa lata później będzie uczestniczył w za-

kładaniu w Francji wydawnictwa Editions Spotkania. Zostanie na dwa lata jego dyrektorem.

Wracają na dobre do Warszawy w 1992 roku, gdy najstarszy syn, Piotrek, idzie do szkoły. Janusz zakłada własne wydawnictwo Krupski i S-ka (będzie jego prezesem do 2000 roku). Z pomocą teściowej, która w Holandii dostała cykl lukratywnych wykładów na uniwersytecie, budują w Grodzisku pod Warszawą dom dla stałe powiększającej się rodziny. Wprowadzają się tam już w osiemkę w 1994 roku. Przez pierwszy rok mieszkają bez wody, bo nie można się było do niej dokopać. Nigdy się im nie przelewa.

W jednym samolocie

W 2000 roku postanowił wrócić do polityki. Nieśmiało próby robił już wcześniej: w latach 1992-93 był ekspertem nadzwyczajnej sejmowej komisji do zbadania skutków stanu wojennego, a między 1993 i 1995 rokiem ekspertem komisji odpowiedzialności konstytucyjnej. Ale to były epizody. Naprawdę wypłynął w 2000 roku, gdy został zastępcą Leona Kieresa, prezesa IPN-u. I pięć lat później, gdy wystartował w konkursie na prezesa, ale jednym głosem przegrał z Januszem Kurtyką.

W 2006 roku odchodzi z IPN-u, jak napisaliśmy w „Gazecie Wyborczej” - jako najbardziej zasłużony dla antykomunistycznej opozycji pracownik tej instytucji. Prasa rozpisuje się, że to przez Kurtykę, który nie mógł pogodzić się z ogromną popularnością Janusza.

Bogdan Borusewicz mówi wtedy, że źle jest, gdy odchodzi człowiek o krystalicznym charakterze, z piękną opozycyjną kartą. Kurtyka demontuje: nie było żadnego konfliktu.

Janusz Krupski zostaje kierownikiem Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Cztery lata później i Krupski, i Kurtyka wsiadają do tego samego samolotu, żeby nie dolecieć do Katynia.

Przyjaciele tak właśnie robią

- Ja się zastanawiam, jak sobie teraz poradzą bez niego ci wszyscy ludzie, którym pomagał jako szef Urzędu - rozważa Wojciech Budkiewicz, dobry znajomy. - Przecież otaczał opieką tylu ludzi, którzy codziennie do niego przychodzili. Co oni teraz zrobią?

Ale przyjaciele zastanawiają się także nad dużo ważniejszą rzeczą: jak poradzi sobie Joanna z siódmą dzieckiem? - Janusz był od lat jedynym żywicielem - mówi Teresa Kapela, przyjaciółka Krupskich. - Joaśka całkowicie poświęciła się domowi, on zarabiał pieniądze.

W tragedii, którą ją spotkała, Joanna jest bardzo dzielna, tak jak dzielna była przez całe życie. Zdecydowała, że chce lecieć do Moskwy, zidentyfikować ciało męża. Być razem z nim.

- To było naprawdę niezwykle małżeństwo - mówią przyjaciele.

Środowisko lubelskie - ludzie, którzy studiowali na KUL-u w latach 70. - już się skrzykuje, żeby pomóc Krupskim. Będą pomagali tak długo, jak będzie trzeba. W takim zakresie, w jakim powinni. - Janusz nieraz nam pomógł, poza tym przyjaciele tak właśnie robią - mówi jeden ze znajomych rodziny.

Niemal całe dorosłe życie Janusz wstawał o piątą rano. W czasie, gdy miał pracę - jechał do pracy. Jak akurat siedział w domu, szukał sobie roboty dookoła siebie. Wracal zazwyczaj późno, chociaż w ostatnich latach trochę wcześniej. - Zawsze witali się z Aską niezwykle serdecznie, z radością. To mnie ujmowało - mówi Teresa Kapela.

Znajomi i przyjaciele mówią: serdeczny, odważny, szlachetny, prawdomówny, obowiązkowy, rzetelny. Z niedużym poczuciem humoru, ale przecież to żadna wada. Nie każdy musi je mieć. - Dla moich dzieci był wzorem - zapewnia Kapela.

Do Katynia leciał w ramach obowiązków. Ale nie tylko. Budkiewicz: - Wiedział, że musi tam być w imieniu tych, którzy codziennie przychodzili do jego biura i opowiadali o losach bliskich zamordowanych tam. Czuli, że tak trzeba. DF